

Wrocław, dnia 12 lutego 1948 r.

Wrocławska Okręgowa Komisja
Badania Zbrodni Niemieckich
w Polsce

PROTOKÓŁ przesłuchania świadka.

Dnia 12 lutego 1948 r. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce we Wrocławiu w osobie Sędziego Sądu Apelacyjnego ob. Jerzego Majewskiego - przy udziale protokółanta Z. Lange, urzędn. - na mocy dekretu P.K.W.N. z dnia 10.11.1945 r. (Dz.U.R.P. Nr. 51, poz. 293) przesłuchał na podstawie art. 4 cytow. dekretu w związku z art. 8, 272, 107, 109, 115 k.p.k. niżej wymienionego (ą) w charakterze świadka pod przysięgą.

Przesłuchany po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania zeznał co następuje:

Imię i nazwisko:	-	<u>Stanisław Trojanowski</u>
Wiek i miejsce urodzenia:	-	lat 48 ur. w Stawropolu - Rosja
Imiona rodziców:	-	Michał i Gabriela z d. Dubińska
Miejsce zamieszkania:	-	Wrocław, ul. Matejki 10.m.4
Zawód:	-	lekarz medycyny
Narodowość:	-	polska
Karalność:		

- a) kryminalna żadna
b) polityczna

Uwagi:.....
Do sprawy: W dniu 1 sierpnia 1944 r. pełniłem obowiązki dyżurnego lekarza rentgenologa w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. W pierwszych dniach powstania powstańcy blokowali ul. Nowogrodzką, zaś Niemcy usadowili się na ul. Oczki. Do Szpitala Dzieciątka Jezus w godzinę po wybuchu powstania t.j. około godz. 6 wieczorem przywieziono samochodem ciężarowym dwóch niemieckich kolejarzy rannych. Po dokonaniu opatrunku lżej rannego kolejarza, Niemcy zabrali ze sobą z powrotem, natomiast ciężiej ranny w klatkę piersiową pozostał na leczeniu w szpitalu. Codziennie przybywali do szpitala ranni Niemcy. 2 czy 3 sierpnia przybyła do szpitala grupa 10 rannych Schupowców z bronią. Schupowcy broń tą złożyli bez przymusu. Nie chcąc mieć nieprzyjemności ze strony władz niemieckich kierownictwo szpitala prosiło o złożenie deklaracji, że owi Niemcy złożyli broń dobrowolnie na przechowanie.

Broń ta została wydana grupie powstańców polskich. Chcąc upozoro-
wać wydanie broni pod przymusem, powstańcy w obecności rannych
Niemców zażądali od nas wydania broni.

Dnia 6 sierpnia 1944 r. o godzinie 6 rano zgłosił się lekarz nie-
miecki kpt. Feliks Borman, który zajmował się ewakuacją rannych
Niemców z terenu działań w mieście. Kpt. Borman, z którym rozmawia-
łem po rosyjsku, zaprowadziłem do chorych Niemców. Na zapytanie
dr. Bormana, jak się z nimi obchodziło w szpitalu, ranni Niemcy
oświadczyli, że mieli troskliwą opiekę, i że nie robiono żadnych
różnic przy traktowaniu ich z chorymi Polakami.

O godzinie 2-ej tegoż dnia Borman przyjechał z karetkami i rozpo-
czął ewakuację chorych Niemców. W trakcie zabierania rannych Niem-
ców dowiedziałem się od swojej żony, która przedostała się ze szko-
ły piekarni przy ul. Koszykowej, zawiadamiając mnie, że córka
nasza, która przebywała sama przy ul. Wawelskiej nr. 60 została cięż-
ko ranna i leży w piwnicy z krwotokiem. Gdy Borman zauważył moje
zdegenerowanie zapytał mi się, co się stało, a następnie zaproponował
mi dowiezienie mnie jak najbliżej do domu przy ul. Wawelskiej 60.
Wyszedłem razem z Bormanem, który doprowadził mnie do gmachu Mini-
sterstwa Komunikacji przy ul. Chałubińskiego. Przed gmachem przed-
stawił moją sprawę Prezydentowi Niemieckiej Dyrekcji Kolei Wschod-
nich zaznaczając, że ja jako lekarz opiekowałem się niemieckimi
rannymi. Ow prezydent kazał mi i temu doktorowi Bormanowi wsiąść
do jednego z samochodów stojących przed gmachem i pojechać w kie-
runku ul. Wawelskiej. Pojechaliśmy ul. Oczerki do pl. Starynkiewicza,
następnie skręciliśmy w Koszykową i z Koszykowej na ul. Suchą.

Jadąc ulicą Koszykową widziałem leżące pod parkanem od strony
Filtrów trupy cywilnej ludności, przeważnie mężczyzn. Na ul. Suchej
pod murem po obu stronach trotuaru trupy ludności cywilnej leżały
dość gęsto. Ulicą Suchą dojechaliśmy do szlabanu znajdującego się
między ul. Langewicza a Wawelską. Bormana wylegitymował oficer
niemiecki, Borman kazał mi wyjść z samochodu i prosił mnie, abym
razem z nim udał się w najbliższy teren, celem obejrzenia rannych
żołnierzy. Ja wyjechałem ze szpitala ubrany w białym fartuchu.

Idąc przez ogródki przy willach zauważyłem leżące w krzakach zwłoki
zabitych w mundurach niemieckich, dużą cywilnej ludności leżącą
na gankach, trotuarach i trawnikach. Rozlegały się krzyki ludności
polskiej i dookoła słyszało się gwarę rosyjską. Borman powiedział
mi, że tutaj na tym odcinku działają oddziały rosyjskie. Widziałem
dużo żołnierzy w mundurach niemieckich, walęsających się w stanie
nietrzeźwym pomcałej kolonii Staszica, objuczonych różnymi częścia-
mi garderoby cywilnej.

Z ul. Sucheja Wawelską pojechaliśmy w kierunku autostrady i zatrzymaliśmy się przed szkołą Nauk Politycznych. Przed szkołą stał major w mundurze SS i grupa SS-owców. Borman wysiadł z samochodu i zameldował się u tego majora. Dr. Borman zwrócił się do majora SS, aby pozwolił nam się udać na ul. Wawelską Nr. 60 celem zabrania rannej córki. Major SS zezwolił nam, lecz uprzedził nas, że w domu tym znajdują się powstańcy, którzy w kierunku gmachu szkoły Nauk Politycznych nie strzelają. Natomiast zdaniem majora gorzej wygląda sytuacja, że w kierunku domu przy ul. Wawelskiej 60 strzelają rosjanie. Zauważyłem, że na polu Mokotowskim od strony pl. Sportowego poza gmachem Marynarki Wojennej okopali się aż do Instytutu Radowego żołnierze i strzelali w kierunku Wawelskiej. Wówczas dr. Borman zwrócił się do dowódcy oddziałów rosyjskich, stojącego po drugiej stronie ul. Wawelskiej z prośbą, aby żołnierze zaprzestali ognia, gdyż w kierunku domu przy ul. Wawelskiej 60 udaje się lekarz celem zabrania rannych. Na oczach wszystkich będąc w białym płaszczu lekarskim udałem się w kierunku domu Wawelska 60. Na parterze tego domu od strony ul. Wawelskiej mieszkała matka mojej żony. Zacząłem stukać w okiennice i wołać, lecz nikt się nie odezwał. Chcąc się dostać do wewnątrz bloku, udałem się dalej ul. Wawelską w kierunku ul. Pługa, na którą wychodził tenże blok. Idąc po drodze zauważyłem na jednym z balkonów obserwatora powstańczego, który mnie pytał o sytuację w mieście. Nie zatrzymując się udzieliłem mu informacji, co do sytuacji w mieście. W tym momencie gdy zbliżałem się do ul. Pługa z za parkanu Instytutu Badań Technicznych został rzucony w moim kierunku granat, który rozerwał się w parę metrów za mną. Przyspieszyłem kroku i w momencie gdy znajdowałem się mniej więcej pośrodku ul. Pługa został rzucony drugi granat w moim kierunku. Nie wiedząc co robić, czy iść dalej, czy się cofać w tym momencie z ul. Korzeniowskiego wyszedł do mnie żołnierz w mundurze niemieckim i zaczął wołać: "Pan idi siuda". Podszedłem do niego i na zapytanie "ty chto" odpowiedziałem po rosyjsku "wracz" wtedy oznajmił mi, że musi mnie zrewidować. Do owego żołnierza zbliżyło się jeszcze kilku żołnierzy. Po rewizji jeden z żołnierzy zaopiniował, że nie warto ze mną rozmawiać, gdyż jestem lekarzem bandytów. Na to odpowiedział pierwszy żołnierz, do którego podszedłem, że to nie jego rzecz, że trzeba odesłać go do komandiera i że Kamiński powiedział, żeby lekarzy i inżynierów nie strzelać. W tym momencie zauważyłem, jak był prowadzony właściciel willi Łańcucki, b. dyrektor Towarzystwa Naftowego "Karpaty" czy "Galicja" przez żołnierzy Kamińskiego. Dyr. Łańcucki został wyprowadzony z willi, którzy go popychali i zaprowadzili go w kierunku piwnicy tejże willi, gdzie mieszkał.

Po chwili usłyszałem strzały oddawane w tej piwnicy, krzyki kobiet. Willa, w której zamordowano Łańcuckiego oraz innych mieszkańców, mieściła się przy ul. Korzeniowskiego 4. Do dnia 1 sierpnia 1944 r. w willi dyr. Łańcuckiego zamieszkiwał on sam wraz z żoną lat ok. 50, siostrą żony o nazwisku niemieckim lat ok. 44, z córką lat 16-17 oraz syn dr. Łańcuckiego z żoną, poza tym w willi tej zamieszkiwał inż. Łabuć Władysław z żoną i dwojgiem dzieci. W momencie wybuchu powstania w willi dyr. Łańcuckiego nie było jego syna oraz lokatora inż. Władysława Łabucia wraz z rodziną, którą wywiózł na letnisko. Z opowiadań miejscowej ludności oraz p. Ketlicz Rajskiej dowiedziałem się, że w ten sposób jak z rodziną dyr. Łańcuckiego załatwili się żołnierze "Kamińskiego" z mieszkańcami innych willi w liczbie 8 przy ul. Korzeniowskiego, stanowiących kolonię domów P.K.O. Zamordowani zostali wówczas: Przędziecki hrabia, rodzony brat Konstantego Przędzieckiego, właściciela hotelu "Polonia" w Warszawie, następnie inż. Gail, profesorowa Turska, żona profesora Politechniki Warszawskiej. W momencie, gdy stałem zatrzymany przez "ronowców" t.j. żołnierzy Kamińskiego wpadł na ul. Wawelską ranny ronowiec, a widząc, że jestem w fartuchu lekarskim zażądał udzielenia mu pomocy. Odpowiedziałem, że nie mam środków opatrunkowych i żeby poszedł na opatrunek do szpitala Instytutu Radowego i tam otrzyma pomoc. Ronowiec odpowiedział mi, że tam już nikogo nie ma, bo wszyscy chorzy bandycy zostali wystrzelani, a Instytut podpalony. Zauważyłem od strony skweru, gdzie była biblioteka Instytutu jak poczęły wydostawać się kłęby dymu. Następnie w towarzystwie konwojenta "ronowca" zostałem prowadzony przez ul. Mochnackiego na ul. Grójecką. Konwojent szukając "kamandiera" wprowadził mnie do sieni domu przy ul. Grójeckiej 43 kazał mi czekać. W domu przy ul. Grójeckiej 43 zamieszkiwali przed wybuchem powstania profesorowie Wolnej Wszechnicy. Gdy stałem w sieni domu przy ul. Grójeckiej 43 wychodzili z tego domu z piwnic pijani "ronowcy" wynosząc jakieś rzeczy, konfitury i td. W pewnym momencie jeden z żołnierzy zaczął mnie indagować i pyta się co ja tu robię. Nie chciałem uwierzyć moim wyjaśnieniom i zarzucił mi, że jestem szpiegiem bandytów. Wyraził się przy tym, "wyrzniemy wszystkich Polaków za to, że swoim powstaniem przeszkodzili brygadzie Kamińskiego przedostania się na zachodni front, gdzie brygada planowała przejście na stronę anglików". Słyszając to jeden z "ronowców" wyciągnął rewolwer w moim kierunku. Chwyciłem go za rękę i użyłem pod jego adresem dosadnych epitetów. To otrzeźwiło nieco "ronowca" i nastąpiła pewna konsternacja wśród ronowców.

Po chwili nadszedł konwojent, który kazał mi iść razem i zaprowadził mnie na ul. róg Wawelskiej i Grójeckiej, pokazał mi pałac dom t. zw. "Pekin" róg Radomskiej i kazał mi biec w kierunku tego domu. Obawiając się, że mnie zastrzelą, gdy będę biegł, nie chciałem wysłuchać jego polecenia, mówiąc, że się boję i że nogi mi odmawiają posłuszeństwa. Wówczas konwojent powiedział, że razem pobiegniemy w tym kierunku. Po chwili pobiegliśmy w kierunku tego domu. Od strony Okęcia jechał czołg, który manipulował lufę, kierując ją na wieżę kościoła Sw. Jakuba na Grójeckiej. Czołg był obsługiwany przez Niemców. Rozległ się wystrzał i pocisk na swoim torze trafił w żelazny słup tramwajowy na ul. Grójeckiej koło domu nr. 39. Koło tego słupa stała duża grupa żołnierzy z brygady Kamińskiego. Słup rozpadł się i zauważyłem kłębowisko ludzkich ciał tuż koło słupa. W parę chwil minął nas ronowiec, od którego dowiedzieliśmy się, że rzekomo Niemcy strzelają w żołnierzy Kamińskiego. Żołnierze z brygady Kamińskiego byli bardzo zaskoczeni tym. Konwojent poprowadził mnie ul. Grójecką w stronę Okęcia. Po drodze obserwowałem jak była likwidowana cywilna ludność polska. Do domów mieszkalnych wpadali rozbastwieni pijani ronowcy i wyrzucali ludność polską z tych domów, rabując co się da. Opróżnione domy były podpalane przez Niemców w ten sposób, że jadący na samochodach Niemcy ogniomiotaczami podpalali domy, wpuszczając strumienie ognia w okna. Widziałem również jak ronowcy do piwnic domów podtaczali działka i strzelali przez otwory piwniczne w piwnicy, wykańczając w ten sposób znajdującą się tam ludność polską. Idąc ul. Grójecką widziałem dużo zabitych Polaków leżących w ogródkach domów, kartofliskach i pustych placach. W niektórych miejscach ze sposobu leżących zwłok można było wnioskować, że ludność polska była grupami rozstrzeliwana. Doszedłem wreszcie do Zieleniaka. Przed Zieleniakiem spotkałem grupę personelu lekarsko-sanitarnego z Instytutu Radowego z Prof. Łukaszczykiem na czele. Chciałem się przyłączyć do tej grupy i razem z nimi iść. Konwojent już poszedł, lecz w tym momencie podszedł do mnie ronowiec i zapytał się mnie, czy jestem lekarzem. Gdy odpowiedziałem twierdząco, zaprowadził mnie na punkt sanitarny swojej brygady, mieszczącej się na skrzyżowaniu ul. Opaczewskiej i Grójeckiej. Grupa dr. Łukaszczyka składała się z 60 osób. Wszyscy byli na biało ubrani. Kazano mi udzielać pomocy rannym ronowcom. Ronowcy ci byli zwożeni samochodami z miejsca, gdzie upadł pocisk z czołgu koło domu akademickiego. Pracowałem tam około 4 godzin. Do mnie przyłączyły się 4 sanitariuszki, które zostały wyrzucone z jakiegoś punktu sanitarnego. W pewnym momencie jedna z sanitariuszek odeszła za swoją naturalną potrzebą i po godzinie mniej więcej

zobaczyłem, jak z za domu, dokąd się udała wyczpłgała się na czworakach w kierunku naszego punktu. Dowiedziałem się od niej, że była zgwałcona przez 8 ronowców. Widziałem również, jak znajomą z widzenia jedną panią młodą, idącą w kierunku Okęcia z pl. Narutowicza porwało czterech żołnierzy ronowców, ciągnęło ją na pusty plac, porośnięty trawą i tam ją zgwałcono. Po dokonanych gwałcie ostatni gwałciciel zastrzelił ją z rewolweru. Podczas gwałcenia zwróciłem się z prośbą o interwencję do oficera niemieckiego majora lotnictwa, aby ratował ową kobietę, ten mi z cynizmem odpowiedział, że oni ją nie gwałcą, tylko szukają broni pomiędzy nogami.

Widziałem poza tym, jak znajomy mój pacjent wyskoczył z płonącego domu. W tym momencie zatrzymali go ronowcy, po chwili go puścili, ten zaczął oddalać się, a potem zaczął biec. Jeden z ronowców krzyknął, iż to jest ten, którego widział jak strzelał z okna. Wówczas zaczęła się gonitwa za nim, otoczyli go kołem, a gdy ten wpadł na dorożkę bez konia, zaczęli go bić kolbą od rewolweru po głowie, gdy zalany krwią wyrwał się z rąk ronowców, zaczął uciekać w kierunku płonącego domu, jeden z nich strzelił do niego i położył go trupem. Widziałem jak pędzących ludzi na Zieleniak rabowano, zabierano teczki i popychając i kopiąc, bijąc kolbami pędzono na Zieleniak. Brygada Kamińskiego prawdopodobnie składała się z kilku pułków. Orientuję się z tego, że ci żołnierze wymieniali Nr. pułków 2, 3 i t.d. Brygada Kamińskiego była używana do pacyfikacji i składała się z żołnierzy pochodzenia rosyjskiego z okolic Kurska i Orła. Ronowcy w rozmowie ze mną mówili, że powstanie niepotrzebnie zostało wywołane i przeszkodziło im w przedostaniu się na front zachodnim na stronę aliantów. Likwidując powstanie twierdzili, że likwidują komunistów. Na Zieleniaku żadnego punktu sanitarnego nie było. Raz zostałem wezwany przez Kamińskiego do niego, celem udzielenia pomocy rannym, znajdującym się na Zieleniak. Kamiński urzędował na ul. Grójeckiej róg Opaczewskiej na I piętrze i obserwował co się dzieje na terenie. Pod balkonem, gdzie urzędował Kamiński, znajdowała się sterta walizek, futer, ubrań, zrabowanych w okolicznych domach u ludności polskiej. Tuż koło tej sterty leżał trup policjanta granatowego i cywila. Łupy te były przykryte kocami. Kamiński był ubrany w mundur niemiecki, koloru niebieskawego ze szlifami generalskimi niemieckimi, z naszytymi na mundurze wstążkami odznaczeń, na piersi miał krzyż żelazny. Kamiński był średniego wzrostu, budowy krępej, kanciasto-czerwonej nalanej twarzy mięsistym nosem i nieznacznie opadniętą prawą powieką. Zapytał mnie się czy jestem lekarzem i kazał mnie zaprowadzić na Zieleniak

Na Zieleniaku tuż koło parkanu przy Ośrodku Zdrowia zobaczyłem 19. kilkadziesiąt osób, lokatorów z domu przy ul. Mochnackiego 17. Między innymi znajdowała się również doktorowa Jokterowa i dr. Biliński. Według opowiadań mieszkańców ronowcy wyrzucili ich z tego domu i poprowadzili w kierunku Zieleniaka przez skwer koło Instytutu Curie-Skłodowskiej. Gdy pędzeni lokatorzy domu Mochnackiego przechodzili przez skwer Skłodowskiej, to jeden z przechodzących ronowców rzucił granat w środek przechodzących, a następnie inny ronowiec, który siedział z karabinem maszynowym zaczął siekać po nogach. Według opowiadań ronowców urządzili sobie z lokatorami przedstawienie, rzucając granat i strzelając z karabinów. Zrobiłem opatrunki koło kilkadziesiąciu osobom, kobietom i mężczyznom, przeważnie starszym. Robiąc opatrunki zaobserwowałem, że ronowcy z grup ludzi spędzonych na Zieleniaku wyciągnęli młodych chłopców 16-17 letnich na oko i prowadzili ich w kierunku szkoły powszechnej, gdzie przez cały czas rozlegały się strzały pojedyncze lub seryjne. Na placu warzywnym Zieleniaka, w chwili kiedy robiłem opatrunki znajdowało się w każdym bądź razie kilkanaście tysięcy stłoczonych ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Warunki sanitarne były okropne. Przed placem znajdowała się tylko jedna pompa, skąd ludzie tłocząc się brali w przygodne naczynia wodę. Na placu grasowali ronowcy, którzy wyciągali młode kobiety i gwałcili w kartofliskach. Opatrzeni przeze mnie postrzeleni lokatorzy domu przy ul. Mochnackiego kwalifikowali się do szpitala. Chodzić nie mogli. Spotkany przeze mnie w dniu 1. września w Grodzisku dr. Biliński Stanisław, zamieszkały zdaje się obecnie w Warszawie mówił mi, że postrzeleni nie mogli iść do Pruszkowa, część tych rannych dostała się przy pomocy ludzi, pędzonych do Pruszkowa. Wszystkie te bestialstwa, jakie dokonywali ronowcy na kolonii Staszica Lubeckiego, Ochoty były dokonywane z polecenia dowódcy brygady Kamińskiego. Przypominam sobie, że likwidujący powstanie Kamiński był tym samym Kamińskim, który w roku 1919, gdy przebywałem w niewoli ukraińskiej w Kamieńcu Podolskim, był podchorążym armii ukraińskiej (Petlury). Kamiński siedział wówczas na odwachu za jakieś przekroczenia. Kamiński ten miał również opadniętą powiekę, mówił płynnie po polsku. Co się z nim po tym stało nie wiem. Kamińskiego, który działał w Warszawie podczas powstania ronowcy nazywali "Mieczysław Władysławowicz". Rzekomo Kamiński miał być oficerem wojsk inżynieryjnych w armii sowieckiej. Dr. Borman, który miał swoją kwaterę w szpitalu w Tworkach w dniu 20 października 1944 r. mówił mi, że Kamiński został rozstrzelany przez Niemców rzekomo za bezceństwa nad ludnością polską podczas powstania warszawskiego.

Według drugiej wersji rzekomo Kamiński został zabity przez partyzantów z Puszczy Kampinowskiej. Nazwisk faktycznych dowódców ronowców nie znam. Żołnierze nazywali ich używając nazw bohaterów przestworzy powietrznych, czy też innych j.np. "Papanin" "Lewoniewski". Uzbrojenie ronowców było łyche. Karabiny maszynowe jeszcze z 1914 r. i zwykłe karabiny ręczne, mieli dużo granatów. W nowoczesną broń nie byli uzbrojeni.

Na tym zakończono i przed podpisaniem odczytano.

/-/ S.Trojanowski

Sędzia /-/ J.Majewski

Protokółant /-/ Z.Lange